Indyjskie koleje nie robią już na nas wrażenia. Nużący, przeszło dobowy, przejazd z przesiadką w Delhi przyjmujemy z obojętnym spokojem, podobne jak wiadomość, że następny prysznic czeka nas za trzy dni w Srinagarze.

Sikhizm to wspaniała religia, pomijając zabawny turban i obowiązek noszenia przy sobie broni siecznej ludzie ci zachowują się jak typowi Europejczycy. Fakt, że wiara zabrania im żebrać i zmusza do nauki i ciężkiej pracy czyni z nich najbardziej szanowanych i majętnych ludzi w całych Indiach. Kto nie wierzy niech rzuci okiem na aktualny skład indyjskiego rządu, czy kierownictwa armii.

Tylko „żydów Indii" mogło było stać na wzniesienie czegoś takiego jak Złota Świątynia. Wielki kompleks, który dane nam było obejrzeć za dnia i w nocy otoczony jest z każdej strony marmurową kolumnadą, a sam złoty budynek stoi pośrodku wielkiej sadzawki, w której ochoczo pluskają się karpie oraz dokonujący rytualnych obmyć Sikhowie.

Każdemu czasem puszczają nerwy. Nawet Anglicy nie są stuprocentowymi flegmatykami, czego dali w swojej historii kilkukrotny wyraz. My, pomnik ludzkiej tragedii mogliśmy oglądać w Jallanwala Bangh – miejscu masakry jakiej na początku dwudziestego wieku dokonali Anglicy na manifestującej pokojowo ludności. Po chwilach wstydu związanego z przynależnością do europejskich najeźdźców wyruszyliśmy na pompatyczno – komiczne prężenie militarnych muskułów, to jest, codzienne uroczystości związane z zamknięciem indyjsko ? pakistańskiej granicy.

Czekpointy jak na koncercie, tłum też podobny, podniecenie w nim panujące – takie samo. Czujemy się jak na wielkiej masowej imprezie, którą cała ceremonia właściwie jest. Czekają na nas trybuny niczym w antycznym koloseum, które zgrabnym półkolem okalają kawałek asfaltu, niewielki koszar i bramę, skąd przez kraty wyziera wściekle zielony napis „Pakistan". Nim wszystko się zaczęło tłum po stronie hinduskiej ustawił się w kolejce, by móc przez chwilę pobiec i pomachać indyjską flagą tuż przed nosem pakistańskich strażników. Potem mistrz ceremonii zarządził przed koszarami balangę, na której (podobnie jak na biegu z flagą) nie mogło nas zabraknąć.

Największą, myślę, siłą jaką państwa demokratyczne mają do walki z tymi – nazwijmy to mniej demokratycznymi jest radość. Cała ta farsa z minidyskoteką i tańczącym, roześmianym tłumem to oczywiście zabieg propagandowy mający pokazać tym po drugiej stronie jak u nas jest fajnie. Argument Coca – Coli działa zawsze i wszędzie.

Po wyćwiczonej radości i zaplanowanej spontaniczności przyszła kolej na zwyczajny pokaz musztry zakończony zamknięciem bram, zwinięciem flag i wzajemnym uściśnięciem sobie dłoni przez obydwie zwaśnione strony.

Po ceremonii zamknięcia granicy riksze podwiozły nas do Crystal Restaurant, gdzie mogliśmy spróbować wielu wykwintnych dań.

Jeszcze ostatni rzut oka na Złotą Świątynię pobłyskującą w świetle księżyca i reflektorów, potem szybki prysznic w hotelu i ruszamy na dworzec, gdzie wsiadamy do kolejnego

niebieskiego pociągu, który zawiezie nas do Jammu.